

Mieczysław Skąpski

Samotni gdzieś w polu

Wieża triangulacyjna jest z daleka widoczna, zwłaszcza, że stoi w szczytnym polu na równinie. Garaż natomiast widać dopiero gdy podjechać blisko. Ten standardowy garaż z blachy, jaki coraz częściej można oglądać na podwórkach wielkich miast puchnących od nadmiaru samochodów, okazuje się być dowcipnie przerobionym obiektem mieszczącym w sobie zakład pracy oraz dom mieszkalny równocześnie. Stoi to-tu mniej więcej 4 kilometry od Iwówka, z półtora od najbliższej wsi Chmielinko i kilkaset metrów od szosy. Garaż podzielono równo pół na pół. W jednej części mieści się aparatura łącząca, w której laik rozpoznaje jedynie dwa ekrany telewizyjne i kilka telefonów, reszta — czyli szereg metalowych skrzynek stojących z braku miejsca (8 m kw) jedna na drugiej i jarzących się czerwonymi światłami oraz drgającymi ustawicznie zielonkawymi wykresami — jest dla niego zagadka. Druga część garażu mieści piętrowe łóżko, szafkę i dwa krzesła.

Na wieży natomiast umieszczono to, co łąpie obraz telewizyjny z Poznania i przesyła dalej do Szczecina, a od dziś ma także przesyłać przez Łagów do Zielonej Góry i całego województwa zielonogórskiego. Czy obraz zostanie przesłany w ogóle i czy w dobrym wydaniu, zależy od załogi tego swoistego zakładu pracy, a mianowicie od Kazimierza Wasika z Poznania i Leszka Formaniaka z Łwówka, których właśnie zastajemy przy robocie. Dziennikarz przybył tu towarzysząc kierownikowi Telewizyjnego Ośrodka Nadawczego w Poznaniu, inż.

Olgięrowi Schreiberowi i głównemu inżynierowi Ośrodka Marianowi Olszakowi, którym właśnie wypadło przeprowadzić kontrolę odbioru na nowo uruchamianej linii do Zielonej Góry.

Inż. Schreiber siada przy słuchawce krotkofalówki i zaczyna się rozmowy z wywoływanymi po kolei załogami innych łącz. Słucham tych rozmów z zachwytem. „Podwizowaliśmy się dokładnie?”, „Damy panu zębatkę, niech pan uważa, ile procent szumu będzie na zębatce”, „Zwizowaliśmy się na małych paraboliach”, „Niech pan zrobi sinusoidę”, „Limiter mam około czterdziestu działek”, „Jakaś mora wychodzi”. Do tego jeszcze sporo nic mi nie mówiących liczb. Słucham jeszcze chwile i zachwyt przechodzi w ośpienie. Cichutko wymykam się z pomieszczenia i przechodzę do części mieszkalnej.

Tu wita mnie dotkliwy chłód. — Niech pan się nie przejmuj — mówi p. Wasik — już włączyłem elektryczny grzejnik, zaraz będzie ciepło. A na razie — tu otwiera przepastną walizę pełną rumianych jabłek — proszę się poczęstować.

Chrupiemy smaczne jabłka i gawędzimy. — Jabłka dostałem od nauczyciela z Chmielinka. Mam z nim dobre kontakty od czasu jak mi tu w lecie przyprowadził dzieciaki ze szkoły, żeby im pokazać telewizję. Jak to było zrobić? Wytańczyliśmy jakąś beczkę z magazynu przed garażem, postawiliśmy na niej telewizor, podłączyliśmy go. No ale jak to oglądać kiedy słońce

Dokończenie na str. 5



Piotr Życki

KARTKI ŚWIĄTECZNE

Wspomnienie
z
wojny

Linoryt
Zygmunta
Miszczyka

Dzień wstawał jakby z trudem, sypało lepkiem śniegiem. Marian Woźniak stwierdził to, wyszedłszy przed dom. Zawahał się na moment — wziąć rower czy nie, po czym paroma energicznymi ruchami podpompał tylną kołostojącą w sieni „damki”.

Migotliwe światła Anielina szybko zostały w tyle, choć śnieg stawał się zdartym oponom opór. Woźniak nacisnął mocniej pedały. Nogi wyćwiczone codzienną zaprawą, działały sprawnie. Droga z Anielina do Niesłusza nigdy nie zajmowała mu więcej czasu, niż miał to w planie, co najwyżej jej pokonanie ko szowało przy złej pogodzie trochę dodatkowego wysiłku.

Ustawiając rower przed budynkiem poczty, Woźniak uśmiechnął sobie, że za trzy dni święta. Witał je zawsze z mieszanymi uczuciami; oznaczały dla niego możliwość spędzenia dwóch dni z Barbarą i Andrzejkiem — zarazem jednak niosły brzemie dodatkowej roboty. Myślał o tym chwilę, spieszenie przerzucając przygotowany przez naczelnikę stos przesyłek. Było ich całkiem dużo, chyba z pięćset — ocenił na oko. I w dodatku paczki! Mowy nie ma, żeby ten majdan wziąć na bagażnik.

Zdecydował się zabrać dwie: dla Pióciennickowej — tej, co to jest w ciąży i dla starego Kowalczyka. Reszcie adresatów — trudno, wręczy tylko awiza. Wysłuzona torba opornie przyjmowała do swego wnętrza plik gazet, czasopism, małe i duże koperty, dziesiątki kolorowych kart. Jeszcze forsę na przekazy, którą starannie umieścił w specjalnej kieszeni.

Śnieg przestał padać, nad Starym Koninem wisiały mgły. Za to masywne kominy gosławickiej elektrowni widoczne były lepiej niż kiedykolwiek. Stąd, z Niesłusza, w obie strony było jednakowo daleko.

Panie Woźniak, ma pan coś dla nas? A dla mnie, dla mnie! — gromadka dzieciaków z sankami towarzyszyła listonoszowi, dopóki kałdemu z osobna nie dał odpowiedzi. Tak było co dnia, przywykł do tego, a nawet polubił owe przejawy swojej poufałości. Znał ludzi swego regionu, znał ich dzieci, choć ruch w okolicy duży. Wciąż ktoś przybywa, inny się wyprowadza.

Ale oto i bloki mieszkalne kopalni, pozbędzie się paczki. Kiedyś stały tu chłopskie zagrody. Wtedy zamiast „Kurieru Polskiego” nosił w torbie przeważnie „Gromadę”.

Woźniak stuka energicznie do drzwi mieszkania, wchodzi, nieomylnie trafia do kuchni.

Dzień dobry, ma pani paczkę... — To chyba od rodziny ze Słupska — kobieta obraca w rękach pokazane zawiniątko.

Wtedy, jak miał pełną torbę „Gromady”, nie było tej szerokiej drogi. Z Niesłusza do Marantowa i dalej, do Gosławic, wiodła wąska, wyboista szosa. Jak trafiła się ciężarówka, nieraz musiał zeskakiwać w błoto, by dać wolny przejazd. Potem się zmieniło. Łatwiej teraz o mundur górnika niż o człowieka z kosą. A rozmaitych „czasowiczów”

— niby meldowanych tu czasowo albo delegowanych — w całym rejonie pełno. Nie tylko w Niesłuszu i Marantowie, ale też w Morzysławiu, Glince, Kurowie.

Zaraz, teraz tutaj, na I piętro. To do tego młodego filatelisty; przesyłka ze Związku Radzieckiego. I jeszcze renta dla Kowalskiej.

No, to ta część pracy załatwiona. Znow na rowerek i — do Bazy Transportu. Bazę wybudowali niedawno, nieco na uboczu, bliżej lasu.

Woźniak pamięta, jak to było. Rosło tu liże żytko. Do bazy musi wstępować co dzień, zawsze coś

dla nich ma i prasę, i listy. Takich odbiorców jest w rejonie więcej. Brykietownia, Poznańskie Przedsiębiorstwo Instalacji prowadzące tu roboty, warszawski „Beton-Stal” (oni się nazywają „budowa nr 30”), Zasadnicza Szkoła Górnicza, Przychodnia Obwodowa dla Górników...

Serwus, Danusiu — Woźniak czuje się w sekretariacie szkoły jak u siebie w domu. Wyjmując przekazy, opiewające na skromne sumy, nadsyłane uczniom, mówi:

Dałaś mi wczoraj za dużo pieniędzy na te czasopisma. Prenumerata wyniesie, zliczałem wieczorem, za wszystkie, od „Gazety Poznańskiej” począwszy — na „Jazzie” skończywszy, 2896 złotych.

Tak mówisz? — dziewczyna, nazwana Danusią, oderwała się na chwilę od anonującego mecz AZS-u z Górnikami afisza, na którym starannie kaligrafowała czas i miejsce spotkania.

Sprawdź, potem się rozliczymy. A teraz — połóż na biurku plik banknotów — przelicz tę forsę. Chłopaki się ucieszą.

Właśnie zabrzmiał dzwonek. Już, już poczęło się bractwo wlewać do sekretariatu szeroko otwartymi drzwiami. Mundury z czarno-zielonymi wyłogami, na nich górniczy symbol: skrzyżowane łoty.

W tym budynku niedawno mieściła się dyrekcja kopalni, przeniesiona do Nowego Konina.

No, trochę w torbie zaczyna ubywać. Teraz baraki. Tak, tak, nie wszystkim mieszka się dobrze, te drewniaki są paskudne: długi korytarz przez środek, tu i tam oparty o ścianę rower, zapach pieczonego gdzieś mięsa, zmieszany z odorem prania. I wychylone z odrzwi spracowane kobiety.

Panie Marianie, jest co do mnie?

Czasem mu żal, że niektórych musi rozczarować. A najwięcej żal mu młodych. Nieraz zaczepiają go, ledwie z drzwi urzędu wyjdzie. Nie zawsze jest to chłopak, nieraz i dziewczyna. Ha, pocztą łączą stęsknionych. Na przykład historia z tą Zdzisławą. Znow dla niej list z Ameryki. Drugi w tym tygodniu. Romantyczne, naprawdę. Przyjechał ten mechanik, Polak z pochodzenia do rodziny i — chyba to było w czerwcu — z miejsca się ożenił. Teraz ona czeka na paszport i chyba wyjedzie. A na razie starczyć muszą listy...

Jak to dobrze, że panią spotkałem, pani Kaczmarska. Drogi trochę poszczędrze. Proszę, dla pani

Dokończenie na str. 5

W tym zwirowanym okresie przedświątecznym znajdujemy się w podobnej sytuacji jak łosie, które zdaje się właśnie teraz wędrują z morza w górę rzeki — na tarło.

Gnane tak zwaną chucią przedzierają się pod prąd i przeskakują słuzę i łamy, a po drodze wielu rybaków i kłusowników zasada się nad brzegami i łupi ten łosiosowy łudek ile wlezie.

I my, popędzani szaleńcem upominków i żądzą obżarstwa plynimy podobnie jak one na świąteczne tarło pod prąd naszych możliwości finansowych i wyprawiamy najrozmaitsze salla, nieraz mortale, z pożyczkami, zaliczkami i ORS-em. A wzdłuż tej rzeki pożądań zaczął się... O nie, nie jakiś tam kłusownik z podrywka czy ościeniem, ale cały handel z pełnym asortymentem wędek, sieci i błysków reklamy i taką rozmaitością przynęty na wystawach, że ryba bierze jak najęta.

I na to nie ma czasu ochronnego, toteż połów jest tak obfity, że niech się schowa nasze rybołówstwo dalekomorskie i bałtyckie, nie mówiąc już o słodkowodnym Kopciuszku. Do każdej przynęty podskakujemy na tej naszej stopie życiowej tak ochoczo, że niejeden sobie coś nadwerzy i długo potem kuleje.

Ale czego się nie robi dla tradycyjnego święta rodzinnego.

Rodzina, wiadomo, wcale nie taki głupi wynalazek. Odkąd istniejemy jako ludzie, próbowaliśmy już różnych systemów. Od hordy, czyli każda z każdym, poprzez wielomęstwo, to jest ich stu i ona jedna, dalej, wielożeństwo, to jest on jeden na sto ich, aż do aktualnej monogamii, czyli sam na sam.

Niektórzy, co prawda, jeszcze teraz próbują wznowiać te eksperymenty tysiącletnie na swój własny rachunek. Ale niewątpliwie, rodzina, oparta na małżeństwie monogamicznym jest, jak się to mówi, podstawową komórką dzisiejszego społeczeństwa.

Komórka, hm, trzeba powiedzieć, z felerami. Ale, choć się na nie na-

Domowe broni zawieszenie

rzeka, a potem na pociechę, opowiada się odośne anegdoty, przecież, jak dotąd, nie udało się nic mądrzejszego wymyślić, wobec czego z pogodą filozofa, trzeba się gościć z tym, co jest.

A jest wcale niemało. Rodzina bowiem nadaje nam pierwszy kształt, jakiś zarys charakteru, tworzy z nas, można powiedzieć, szkic człowieka. Z niej wynosimy pierwsze pojęcia do bra i zła, piękna i brzydoty, wśród niej uczymy się kochać i wzruszać... także pod choinką.

Po całorocznym, nieraz bez istotnej potrzeby, wzajemnym na siebie warczeniu, ślepkniem jesteśmy do relaksu. Do jednego przynajmniej wieczoru zawieszenia broni i zdjecia nie tyle zbroi, ile maski. Ze zgłębku życia wycofujemy się w zacisze wspomnień, pachnących igliwem, pastą do podłogi, makowcem i smażoną rybą. Na tę chwilę dajemy nurka w nasze dzieciństwo, gdzie wszystko było piękne i prawdziwe. Gdzie nawet święty Mikołaj był prawdziwym Mikołajem, dopóki proza życia nie ujawniła widocznych spod świątobliwej szaty pantalonów najdroższego talusia.

Wraca do nas co roku ten, miniony świat i cudownie miesza się z nowoczesnym dzisiejszym. Albowiem nie chcemy naszego połomstwa pozbawiać uroku tradycji, w której tyle poezji nagromadziło się od zamierzchłej, przedhistorycznej przeszłości.

Atrakcyjność gwiazdkowych zyczajów i obrzędów polega przede wszystkim chyba na tym, że zarówno wszystkie razem, jak i każdy z osobna, wyrażają ludzki optymizm. A cóż może być bardziej krzepiącego? Nawet jeżeli się to głosi przy pomocy środków tak prostych na dzisiaj-

sze czasy, jak brodaty Gwiazdor i zielona choinka.

A propos choinki, to już chyba rok temu organ Watykanu, „Osservatore Romano”, dość osro wystąpił przeciw Mikołajom, a nawet choinkom, jako nazbyt żywotnym przeżytkom pogaństwa. Dopiero wtedy zrozumiałem, dlaczego tak trudno dostać u nas jakieś żywołne drzewko. Po prostu agentury Watykanu uwiły sobie przytulne gniazdko w rozgąłżeniach naszego socjalistycznego handlu bożonarodzeniowymi choinkami — i stąd na rynku tyle tzw. drapaków.

Ale nawet drapak nam wystarczy, aby tylko był świeży, zielony, i pachniał naszym ludowym, a nie obszar-nicznym lasem. W najciemniejszej porze roku zbierzemy się wokół tego symbolu życia, symbolu sytości i bezpieczeństwa.

Będziemy wymyć, uprni i wyprasowani, z apetytem, a przede wszystkim z prawie nie naruszonym w ciągu roku zapasem życzliwości. Bez względu na klasową przynależność, narodowość, wyznanie i kolor skóry milujemy się tego wieczoru wszyscy, ubóstwiamy nawet naszych dyrekt-rów i teściowe. I to tak bardzo, że gdyby się to dało wymienić na drobne, wystarczłoby tego bilonu życzliwości na cały rok, czego czytelniczkom, czytelnikom i czytelnicz-łom z całego serca życzę.

A gdyby mimo tej atmosfery gdzieś komuś napałoczył się ktoś usiłujący zakłócić harmonię świąteczną — bądźcie wyrozumiali i nie wieszajcie go na choince. W każdej szopce przecież może się znaleźć jakiś wół czy osioł.

BETA

Zofia Artymowska

ROK PRZEŁOMU

O roku, uff! — napisał kiedyś pewien satyryk. To westchnienie ulgi należało się na zbliżające się pożegnanie roku 1962 bardziej niż na pożegnanie jakiegokolwiek innego z powojennych lat.

Jak w kalejdoskopie — przesuwały się wydarzenia, które w minionych miesiącach zajmowały czołówek gazet: porozumienia i spory, powstania, pucze i rebelie, konferencje i katastrofy. Z „wielkiej polityki” i z codziennych spraw składał się każdy rok, który odchodzi. Mało, który jednak pozostanie tak długo w pamięci, jak ten, który mógł stać się końcowym etapem naszej cywilizacji — rok konfliktu kubańskiego.

Zatrudniony w bazie amerykańskiej w angielskim hrabstwie Norfolk sierżant Cunningham pozostał na zawsze nieznanym pacjentem jednego ze szpitali dla psychicznie chorych, gdyby nie to, że w niesablonowy sposób chciał się rozstać z tym światem. Zamknął się sam na sam z bombą wodorową i wystrzelił do niej postanowił spowodować jej wybuch. Działo się to kilka lat temu, ale dopiero niedawno to, o czym uparczywie niosła wieść gminna, dostało się na łamy prasy.

Wypadek ten zakończył się na szczęście obezwładnieniem szaleńca. Wojnę można wywołać przypadkiem, wojna może wybuchnąć w wyniku pomyłek. Od dawna o tym wiadomo. Ale można też wywołać ją na skutek błędnej kalkulacji ryzyka. Politycy nie podlegają badaniom. A czym w gruncie rzeczy różnił się od sierżanta Cunninghama tacy amerykańscy mężowie stanu, jak senator Goldwater, który nawoływał do inwazji na Kubę i do bombardowania zainstalowanych tam radzieckich wyrzutni rakietowych?

Chyba tylko rozmiarem zniszczeń, jakie różniły wybuch jednej bomby od światowej wojny atomowej. Czasy, w których żyjemy, określa się mianem epoki atomu i Kosmosu. A co to oznacza pokazują nie tylko „pozytywy”: loty kosmonautów, wyprawy „Marinera” i „Marsa”, ale i to, co się zdarzyło w jesieni: sprawa Kuby.

Historia to nie koń i nie można jej poganiać batem — powiedział kiedyś Chruszczow pod adresem mieniących się marksistami dogmatyków i sekciarzy. Ale — występując przeciwko teorii o „ekspansji rewolucji” — równie stanowczo sprzeciwił się „ekspertowi kontrewolucji”. A Kuba o mały włos nie padła ofiarą takiego właśnie eksportu.

Każdy kraj ma prawo wyboru własnej drogi. I chociaż kanonierki mogą nie raz jeszcze powstrzymać

rozwój wydarzeń, tak jak to miało miejsce w brytyjskiej Brunei, to jednak na dłuższą metę nie potrafią zahamować procesów, przekształcających stary świat. Przekonało się o tej prawdzie niejedno imperium.

Kubie odmówiono prawa wyboru. Wbrew podstawowym zasadom pokojowego współistnienia — konflikt ideologiczny z Kubą, pierwszą wyspą rewolucyjną na kontynencie amerykańskim, postanowiono rozstrzygnąć przy pomocy siły. Taki był sens ogłoszonej pod koniec października blokady. Jak ktoś trafnie powiedział — nie rakietę chciano usunąć z Kuby, ale Fidela Castro.

W poprzedzających te wypadki latach wiele było konfliktów między Wschodem a Zachodem, wiele niebezpiecznych napięć i zatargów. Ale tym razem pierwszy raz dojdzie mogło do bezpośredniej konfrontacji dwóch największych mocarstw. Po raz pierwszy świat otarł się bezpośrednio o groźbę wojny atomowej.

Wysoki urzędnik amerykańskiego ministra obrony, p. Artur Sylvester, oświadczył niedawno publicznie, że jego zdaniem „rząd ma prawo kłamać we własnej obronie” i że jest to jego „podstawowe prawo”. Oświadczenie to wywołało burzę w Stanach Zjednoczonych tym bardziej, że Sylvester wprowadził swe przekonania w praktykę, cenzurując w czasie kryzysu kubańskiego wszystkie wiadomości prasowe, wychodzące z Pentagonu.

Można by snuć na ten temat wiele rozważań moralnej natury. Nie o to jednak chodzi. Prawda o konsekwencjach, jakimi groził konflikt kubański, dotarła zarówno do amerykańskiego, jak i do innych społeczeństw. Nic przedtem nie wstrząsnęło tak głęboko świadomością zwykłych ludzi i polityków, jak ta własna prawda. Ona też sprawiła, że sprawa kubańska z rąk generałów przeszła w ręce polityków. Ze kompromisem pozwolili na osiągnięcie porozumienia.

To, że świat odetchnął z ulgą nie było w najmniejszym stopniu przesadą. Nawet skrajnie prawicowy dziennik „Aurore” zachłystywał się z podziwu dla pokojowego rozwiązania kryzysu: „Chruszczow i Kennedy, którzy byli o włos od wojny atomowej, potrafili jej zapobiec. Któż więc przegrał? — głupota. Kto wygrał? — rozsądek. To wspaniałe zwycięstwo, jakiego już dawno nie było”.

Nikita Chruszczow lubi anegdoty. Pod tym względem jego przemówienia odbiegają od wystąpień innych znanych mężów stanu. W przysłówiach ludowych, w bajkach i przypowieściach tkwi, jak mówią, mądrość narodów. W swym niedawnym przemówieniu na Ra-

dzie Najwyższej ZSRR, premier radziecki przypomniał bajeczkę o zajączku, który uciekając przed nagonką, wpadł do lisiej jamy, gdzie były lisięta. Przerażony zapytał: — Gdzie mama? A kiedy okazało się, że nie ma jej w domu — poczuł się pewniejszy, podkreślił wąż i powiedział buńczucznie: — Szkoda, szkoda, bo bym jej pokazał...

Czy trzeba lepszej aluzji do tych polityków na Zachodzie, którzy niewiele nauczyli się ze sprawy Kuby i którzy uważają, jak, kiedyś John Foster Dulles, że nadal należy wyrażać szabelką i szukać zwady? Do czego to może doprowadzić, jeśli dzisiaj dwa największe mocarstwa posiadają tyle środków zniszczenia, że starczyłoby na zniszczenie cywilizacji nie na jednej tylko planecie?

Rozwiązanie kryzysu kubańskiego postawiło na porządku dnia nowe problemy. Na ich czele zaś problem najistotniejszy: w jaki sposób zapobiec w przyszłości podobnym kryzysom. Pilniejsza niż kiedykolwiek stała się potrzeba porozumienia w sprawach takich, jak rozbrojenie, zakaz doświadczania jądrowych, czy Berlina zachodniego. A więc potrzeba profilaktyki, niezbędnej dla zdrowia i życia nerwowego pacjenta, jakim jest współczesny świat.

Właśnie zapobieganie. Taki jest dzisiaj sens praktyczny pokojowego współistnienia. A jak zapobiegać? Na pewno wiele zależy od porozumienia przede wszystkim między USA i ZSRR, między premierem Chruszczowem a prezydentem Kennedy'm. Może telefon, czy dalekopis łączący Kreml z Białym Domem mogłby odegrać pożyteczną rolę. Ale rzecz główna — to poczucie odpowiedzialności i po prostu dobra wola.

W pokoju redakcyjnym wisi mapa. Nie jest zbyt stara, a przecież już jest przestarzała. Wydawcy atlasów nie mogą nadążyć za biegiem wydarzeń i nie ma w tym nic dziwnego. Zbyt szybko zachodzą zmiany na świecie, zbyt wolno rozwija się technika drukarska od czasów starego Gutenberga.

Każdy rok przynosi coś nowego. Ale żaden rok nie był tak brzemienisty w niebezpieczeństwo. Kuba pokazała, że bez rozwiązywania podstawowych problemów istnieje groźba konfliktu. Ale Kuba pokazała również, że wojny można uniknąć i jak można jej zapobiec. I jeśli przełom, jakiego dokonały wydarzenia jesienne w poglądach na sprawy wojny i pokoju znajdzie odbicie w praktyce stosunków międzynarodowych — może być tak, że rok 1963 będzie początkiem „ery bezatomowej”: bez groźby atomowego konfliktu.



Kwiaty

Linoryt
Marii
Dolnej

Waleria Korycka

GEOGRAFIA „GWIAZDKI”

Już w szkole nas uczono, że pod różnymi szerokościami geograficznymi świata — światem nierównym. O klimacie mówiono wówczas jako o pewniaku, mającym swoje statyczne „średnie”. A tu na naszych oczach z klimatem dzieją się dziwne rzeczy.

Któż by np. mógł spodziewać się na Florydzie czy na wybrzeżach Kalifornii, że tuż przed Gwiazdką wymarzną pomarańcze i cytrusowe sady, nie notowane nigdy mrozów spędzi plażowiczów z Miami, a śnieg zasypie drogi do Palm Beach! A przecież w tym klimacie (podobno najzdrowszym dla człowieka) świętowało się Gwiazdkę jak przystało na Kalifornię: pod deszczem — ale ciepłym, z palmową zastępczą choinką.

W latach wojennych los rozpedził nas po świecie. Do dziś wielu naszych bliskich nadsyła świąteczne karty ze wszystkich chyba miejsc Ziemi. W różnych warunkach obchodzą Święta i Nowy Rok.

Pozwólcie, że przytoczę jako przykład dobrze mi znaną rodzinę K. Tak się stało, że członkowie tej rodziny znaleźli się w różnych częściach świata. Córka Helena właśnie drży z niespodziewanego zima na kalifornijskim wybrzeżu. Matka — Zofia pisała z Detroit, że święta spędzi w domu, gdyż nie znosi ostrych zimnych wiatrów, które o tej porze szczególnie dotkliwie wieją od jezior. Kuzyn Jerzy grzać się będzie przy gazowym piecyku (bo z kominkami podobno w Anglii teraz jest kiepsko) i zasłoni okna, aby nie spoglądać na zwalające mgły, która tam przedwcześnie sprowadzi wigilijną noc.

Młodsze pokolenie tej rodziny już nie los, ale własna inicjatywa wysłała w obce kraje, które ostatnio

jakoś się przybliżyły. Stanisław — młody inżynier, który coś tam buduje w Indiach, spędzi w tym roku „zielone” święta pod bezchmurnym niebem. W Ghanie — gdzie jego szwagier Władek ma budować linię kolejową, podobno będzie w czasie świąt dość chłodno — jak na Afrykę.

Na pewno wielu z nas otrzyma życzenia od znajomych i bliskich rozsiadanych po całej bezmiernej przestrzeni oznaczonej przez klimatologów tak krańcowymi temperaturami, że różnica między nimi (porównawszy od pisków Sahary aż do syberyjskich śniegów, ponoć wynosi średnio 80 stopni).

W Kongo Gwiazdka przypadnie na przesilenie pory deszczowej, po której intensywniej zielenieją drzewa, a dżungla jest przesycona parą. A trudno sobie wyobrazić im, mieszkającym dżungli, że gdzieś tam może leżeć śnieg i dzwonią dzwonki u sań. Sucho, gorąco będzie w Abisynii czy Birnie. W Brukseli czy Kopenhadze deszcz zasnuje niebo i w świątecznym dniu nie znajdziemy chętnych do spacerów po mieście. Śnieg iskrzy się będzie od świateł Moskwy i chyba będzie tam mroźno, tak zawsze przed Nowym Rokiem. A w Australii Gwiazdkę spędzi się pod eukaliptusem — jeśli nie zdarzy się tak, że człowiek znajdzie się w tym czasie na jej pustynnych, północnych przestrzeniach, gdzie ani drzewka nie znajdzie. Ktoś pisał z Brazylii, że oddałby jej całą wspaniałą roślinność i gwiazdkowe upały — za śnieg i gałązkę świerku...

Tak jak co roku, spod palmowych liści, południowej araukarii, angielskiej jemioły czy francuskiego ostrokrzewia, które muszą zastąpić choinkę — w myślach do nas wysłanych w wigilijny wieczór — znajdzie się pytanie: a jak tam u Was jest w tej chwili?

A u nas, wiadomo, bywa różnie, właśnie na Gwiazdkę sprawdzamy słusność twierdzenia klimatologów o ocieplaniu się Ziemi. I często tylko Zakopane, stojące się w śnieżną szatę na przyjęcie świątecznych gości, ratuje renomę „białej polskiej zimy”.

Gerard Górnicki

Jeden dzień w Rzymie

Z włoskiego notatnika

wino. Nogi mam ciężkie od zmęczenia, mięśnie boleśnie pulsują. Ulica — w stronę Tybru — idzie szczupły bruneł. Śpiewa cudownie o tym, że naprawia parasole. W ojczyźnie Rossiniego, Verdiego, Pucciniego, Carusa — śpiewają konduktorzy, kelnerzy, sklepikarze, karabinierzy — co krok. Mieszkam na Zatybrzu — naprzeciwko „arystokratycznej” dzielnicy Monte Parioli, gdzie mieści się nasza Ambasada. W pobliżu olimpijski stadion.

Do Watykanu idę pieszo. Ulice długie, schludne o nazwiskach wziętych z wielkiej historii. Via Pompeo, Gracchi, Cesare, Cicerone. Kierowcy samochodów oddają bezwzględnie pierwszeństwo pieszym. Szacunek dla przechodnia nienaganny. Samochody czekają aż przejdzie — przeglądając gazetę — na drugą stronę ulicy. Na Piazza Cavour gmach sądu w „wielkim stylu”, imitującym przepych. Ale pałac królewski Wiktora Emanuela, stojący przy Placu Weneckim, przyfastrygowany do Kapitolu, jest szczytem nieudanego naśladowstwa i zwyrodnienia różnych stylów. Wzrokiem biegnę już w prawo i zza drzew wyłania się opasły Zamek św. Anioła, ale daleko mu do niebotycznych ruin Colosseum. Most S. Angelo z rzeźbami arcydzieł Bernini’ego (10 postaci pulchnych białych aniołków, wyrwane stojących tam od wieku XVII, pragnących jakby odlecieć w inne strony). Wkraczam z pośpiechem w nowoczesną ulicę Pociągów, biegnącą od Tybru do Placu św. Piotra. Kopuła Bazyliki w słońcu, kresdowo-biała z niebieskim blaskiem. Ale Kopuła florenckiej katedry jest bardziej intrygująca. Po

obu stronach Via Conciliazione lampy na granitowych kolumnach. Sklepy, kioski, kawiarenki. (Gdzie są granice tego najmniejszego w świecie państwa o pow. 0,44 km²). Na ulicy ruch, jak na każdej innej w Rzymie, jest przestronnie. W sklepach tytoniowych nie ma znaczków pocztowych państwa papieża. Czyżby jeszcze nie Watykan? Kupuję zdjęcie Jana XXIII. Jednym spojrzeniem obejmuje Plac św. Piotra. Jest bezładny, kamienny, nie przylatcza ogromem. Trwają obrady Soboru. Policja włoska, na czarnych mundurach lśnią białe pasy. Pojeźdźca, czterorzędowa Kolumnada Bernini’ego. Plac dziwnie kurczy się w oczach pod surowymi ścianami Kolumnady. Sylwetki pojedynczych ludzi maleją, to jednak przestrzeń o szerokości i długości 200—250 metrów.

Schody Bazyliki kolosalne, harmonijnie połączane, płynne, nęcące. Trzy rzędy drewnianych balustrad zamykają drogę do drzwi świątyni. Opieram się całym ciałem o balustradę. Odczuwam niepokój, że nic więcej nie zobaczę. Z prawej strony spłazowa brama. Wstępuję na schody. Szwajcarscy gwardziści przechodzą parą krokiem tuż z niskim progiem palacu. Mają na głowie czarne, szerokie berety, pod nimi czujne oczy i rozlane, brzydkie twarze. Bluzy i bufiaste spodnie w łówkie pasy. Na mój widok przystają, opuszczają halabardy. Wzrokiem przywołuję oficera. Ruchem ręki zabrania mi iść dalej. Ponad kolumnami, w chłodzie, przechodzę na lewą stronę Placu, gdzie jest wjazd na teren Watykanu.

Gwardziści zmieniają wartę. Mają nowe karabiny z załkniętymi na nich bagnietami.

Włoch z Tyrolu mówi do mnie, stojącego długo bez ruchu, po niemiecku i radzi mi czekać. Otwarcie Bazyliki ma nastąpić o godzinie 16. Pyta — jak jest w Polsce, czy mamy rząd i urzędowy język polski. Ale jest dobrze zorientowany w merytorycznych problemach Soboru, zna z widzenia kardynałów i arcybiskupów, których mi później pokazuje. Twierdzi, że nie wiadomo jeszcze, która tendencja zwycięży na Soborze: reformatorska, „lewicowa”, czy konserwatywna „prawicowa”. O obecnym papieżu mówi: „gule Mann”, czyli wyraża o Janie XXIII opinię, jaką słyszałem w podgługu z ust konduktora, nauczycielki, robotnika, jadąc z Florencji do Neapolu. Dodaje, że to syn chłopca z Bergamo, tę samą uwagę czynili również moi niedawni rozmówcy w II klasie pociągu pośpiesznego. Twierdzi, że rzymska arystokracja żyje wspomnieniami o Piusie XII i podobno omija Watykan.

Idę wreszcie na pocztę watykańską. Księża Murzyni kupują znaczki pocztowe. Stary jegomość wydaje na ten cel 10 tysięcy lirów. Na paczkach, listach, widokówkach — nadawcy umieszczają tyle znaczków, ile tylko miejsca starczy. O! Tułaj panuje podniecenie. Wysyłam do kraju dużo pozdrowień. Kupuję serię pięknych znaczków soborowych — 8 za 300 lirów i drugą „zwykłą” watykańską — 10 znaczków za 600 lirów. W kioskach organ Citta del Vaticano — pismo „Osservatore Romano”. Obszerne relacje z Soboru, wiele materiałów historycznych, artykuły Ojców Soboru, depesze szefów różnych państw i zdjęć, zdjęcia, zdjęcia... Fragmenty nabożeństw odprawianych przez dostojników kościelnych wszystkich kontynentów. Duszpasterze kościoła wschodniego — brodaci o krzaczastych brwiach, o bardzo napiętym spojrzeniu.



Podnoszę zieloną zaslonę okienną. Słoneczny dzień. Jeszcze przed trzema dniami w Neapolu szalał wędrowny cyklon. W wiecznie niebieskiej zatoce — nad którą dojrzejemy teraz pomarańcze — zatonał w nocy angielski statek. Następnego dnia na Capri niemal upał, 20 listopada kąpiel w morzu. W powrotnej drodze widok z pociągu na Monte Cairo (1669 m); jej szczyt, przewyższający Monte Cassino, cały w śniegu. W Rzymie — dnia poprzedniego padał ulewny deszcz i rujnował moje siły podczas zwiedzania Forum Romanum i Colosseum. W ogrodach rzymskich zakwitnie za parę tygodni żółta mimosa.

Godzina osma trzydziści. Na śniadaniu, u znajomych czterujących pań — herbata z mlekiem, bułki pszenno-ryżowe, ser (parmezan), masło,

Z tomu opowiadań
który ukaże się
nakładem
Wydawnictwa
Poznańskiego

Jerzy Korczak

STARY TRAGIK

Ilustr. Ewa Pruska

Już mi całkiem łapy spuchły! — szepnął kurtyniarz Serafiniak do suflerki, Geni — Ale wiary! Ludzie na żyrdach wiszą! Udawał, że zioścą go te dudniące bez przerwy brawa; nasłuchiwał jednak czujnie, czy jeszcze czegoś nie wydusi z widowni. Niespodziewanie znów podniósł kurtynę w górę. — Trzynasta! — zawołał z triumfem do maszynistów. Stary Chylicki był już w kulisach. Kiedy usłyszał oklaski zawrócił niechętnie i pogroziwszy w przejściu Serafiniakowi wyszedł na scenę.

— Grozi, grozi, ale szczęśliwy jakby go kto na sto koni wsadził! Chylicki stał pośrodku sceny z głęboko schyloną głową i przykniętymi oczami. Wyglądało na to, że jeszcze na chwilę wciela się w swojego Horsztyńskiego. Było to jednak złudzenie — ledwo mógł dzisiaj ustać ze zniecierpliwienia. — „Powiedz mi Gaika, dlaczego Mariola nie wyszła na brawa?” — spytał inspicjenta, gdy tylko usiadł przed lustrem w garderobie; usłuszenie nachylił się nad Chylickim.

— Wybiegła dziś szybciej, panie dyrektorze. Nie wiem dlaczego. Mogę jej powiedzieć, że pan dyrektor... — Nie trzeba! — Chylicki przybliżył twarz do lustra. Chwilę wpatrywał się w głębokie bruzdy podkreślone smarką, a potem powoli zaczął ścierać charakterystyczne. Z sąsiedniej garderoby dochodziły ożywione głosy. Pojedyncze słowa dobiegały do Chylickiego; dopiero jednak, gdy się zorientował, że o nim mowa, nadstawił uszu.

— Ale stary miał dzisiaj frenety! — A żebyś słyszał, jaka go zadycha ziała w trzecim akcie. Myślałem, że nie dokończy monologu... — Zyczyłobyś mi w jego wieku! Chylicki ze złością poderwał się z miejsca.

— Gaika! — zawołał w stronę kulis. — Powiedz tym tam za ścianą, żeby...

— Tak jest, panie dyrektorze! — Rudy inspicjent wynurzył się z poza rozbieranych przez maszynistów dekoracji. — Co mam powiedzieć? — Żeby się... Żeby... A zresztą nie szczeniakiem nie mów! A mnie nie tytułuj dyrektorem. Ile razy mam cię o to prosić? To, że sto lat temu przez jeden sezon byłem dyrektorem, to jeszcze nie powód, żeby mi

o tym do końca życia przypominać. Aktor jestem. Aktor — i nic więcej! Rozumiesz?

— Tak jest! Nagle Chylicki zniechęcił się. Za drzwiami usłyszał dobrze mu znane kroki. Złość opuściła go w mgnieniu oka. Szybko zerwał z głowy perukę i przygładziwszy kępkę rzadkich, całkiem srebrnych włosów wstrzymał prawie oddech; w sekundę potem odezwało się pukanie. Mariola Kosiłbanska była już w garderobie, gdy spytała swoim ciekim, naiwnym głosem.

— Czy można? Chylicki odwrócił się. — A to ty? Siada! — Silił się na obojętność, ale choć grał w życiu więcej niż tysiąc ról, ta rola nie wychodziła mu najlepiej. — Nie wyszłaś dzisiaj na brawa. Pewno ci się spieszyło, co?

— Skądże. Po prostu nie potrafiłam się zmusić. Mam już tej swojej Amelii po dziurki od nosa. W tamtym sezonie sto razy Amelia w „Mazepie”, teraz znów Amelia w „Horsztyńskim”. Na sam dźwięk tego imienia dostaje gęsiej skórki. Jedynę szczęście, że teraz gram z panem. Czy długo będziemy to ciągnąć?

— Myślę, że długo. Ludzie walą kompletami. Czy chcesz ze mną wstąpić do „Teatralnej”? — Chylicki kończył ścierać szminkę. Patrzył uważnie w lustro, gdzie obok jego twarzy odbijała się pomniejszona twarz Marioli. Serce czuł prawie pod gardłem; wiele wysiłku kosztowało go, żeby to ukryć.

— Naturalnie, że chcę. A nie będę panu przeszkadzała? No i ludzie... Od razu będzie gadanie! — „Że z takim staruchem, co?” — Chylicki zmusił się do uśmiechu.

— Pan dla mnie wcale nie jest stary. A poza tym wieczór w „Teatralnej” z wielkim Bonawenturą Chylickim, to dla każdej młodej aktorki zaszczyt. Zresztą... — Mariola niespodziewanie spiekła raka.

— Co, zresztą? Dokończ! — Chylicki delikatnie dotknął jej ramienia, a potem nieznacznie zesunął rękę niżej.

— Przecież pan dobrze wie, że... — Przytuliła się do niego mocniej. — Nie nie wiem! — Nie usiłował już kryć swojej radości. Szybko wciągnął marynarkę, zawiązał krawat. — Dobra z nas para, co? — Jego beztroska ironia była wyraźnie sztuczna. Wyczuł to od razu, bo stojąc z dziewczyną przed lustrem wykrzywił się pocieszenie. — Dawniej uwielbiałem grać w komediach. Mówili, że mam gębę jak kalosz. Potem zmieniła się i gęba, i emploi. Stałem się starym tragiczkiem!

*

Pokój był niewielki i zagrany. Czuć było mieszaninę ziół, naftaliny i jeszcze czegoś dusznego i nieuchwytnego. Garbaty człowieczek w granatowym kitlu niknął prawie w fotelu.

— A jak mistrz z sercem? — Z sercem... Niestety, nie najlepiej. Elektrokardiogram...

— Kto by tam wierzył w takie rzeczy! — Garbusek lekceważąco machnął małą jakby z wosku zrobioną ręką. — Idzie mi o własne obserwacje. Czy mistrz nie miewa zadyszek, bólów, klucia pod lewą łopatką... Jeśli mam być szczerzy, nie ma to właściwie żadnego wpływu na naszą kurację, ale pytam, że tak powiem z osobistej ciekawości... Praca mistrza bardzo przecież wycofująca... Teatr! Podziwiałem, podziwiałem. Dawniej nawet kilka razy w tygodniu. Mistrz taki sławny. To dla mnie prawdziwy zaszczyt! — Chylicki poruszył się na krześle. Przeczynał, że tamtego język świerzb, aby dowiedzieć się czegoś więcej o teatrze i jego pracy. A przecież nie w tym celu tutaj przyszedł. Uśmiechnął się i skłoniwszy z podziękowaniem głowę odwrócił się do komplementu.

— Cóż ja, aktor, zwyczajny aktor. Za to pan doktor... Wiele ludzi wprost pana błogosławi!

— Przesada, przesada... — Garbusek wyraźnie się ożywił. — Naprawdę tak mistrz sądzi? Ale wracając do pańskiego serca, mistrzu... — Owszem. Daje czasem o sobie znać. Zwłaszcza jak człowiek przez

bite dwie godziny nie schodzi ze sceny. A potem jeszcze oklaski, wyjścia przed kurtynę...

— Tak, tak, tak — Głos garbusa był skrzekliwy — przykro drażnił uszy. — Usuniemy wszystkie te dolegliwości. Odrodzimy mistrza... A teraz poproszę bliżej, o tu, na to krzesło! Chylicki przesiadł się na czarny, okrągły taboret, którym garbus kilkakrotnie zawirował; śruba zapiszczała i taboret obniżył się o kilkanaście centymetrów.

— Czy pan doktor będzie mnie badał?

— Ach, nie. Dla mnie wszystko jest jasne. Zobaczymy jeszcze tylko oko i zaordynujemy kurację. Moja metoda na pewno nie zawiedzie. Nigdy nie zawodzi! — Podniósł się z fotela i, zmarszczywszy czoło, założył na nos okulary w drucianej oprawie; po chwili zderzył się spojrzeniem ze wzrokiem Chylickiego. Błede, bezręce oczy garbusa patrzyły na niego rzeczowo i obojętnie, tak jak się patrzy na przedmiot za szybą. Chylicki z trudem się powstrzymał, aby nie wzruszyć ramionami. Było mu duszno i coraz mniej wierzył w sens tego wszystkiego.

— Czy pan doktor już coś wyczytał?

— Jeszcze chwileczkę, trochę cierpliwości, mistrzu! — Garbus zakaszał sucho nie spuszczać ani na mgnienie wzroku z Chylickiego. — No, teraz mistrz może już wstać! — Ściągnął z nosa okulary i zatarł z triumfem swoje małe ręce. — Za kilka miesięcy będzie mógł mistrz koziołki fikać. I nie tylko koziołki! — Zaskrzeczał ze znaczącym uśmiechem, podszedł do cianno zsuniętych półek, które wypełniały całą ścianę pokoju. — Ale trzeba się stosować do wszystkich moich zaleceń. Bo bez tego za nic nie ręczę... Czy mistrz może mi przytrzymać drabinę?

— Oczywiście! — bąknął Chylicki spoglądając z ciekawością na małą, pokrzywioną figurkę wspinającą się pod sufit. Stojąc wysoko przed stołem rozmaitych pudełek, słoików, butelek i turek garbus bez przerwy coś do siebie mruczał. Chylickiemu zdawało się, że trwa to wieczność. Kilkakrotnie chrząkaniem przypominał o swojej obecności — człowieczek w górę jakby o nim zapomniał. Wyciągał swoje kościaste ręce po coraz to nowe preparaty i długo medytując odstawiał je z powrotem. Drabina raz i drugi zachybotała ale on pogrążony w tajemniczych poszukiwaniach w ogóle tego nie zauważył.

— Czy mistrz był blondynem czy brunetem?

Chylickiego tak zaskoczyło to pytanie, że przez chwilę nie mógł wydusić odpowiedzi.

— Włosy miałem ciemno blond.

Garbaty człowieczek pokiwał głową, a potem zdecydowanym już ruchem sięgnął po kilka pudełek, butelkę i słoik. — Kuracja jest trudna — oznajmił po chwili sadowiąc się za biurkiem, na którym obok rozmaitych szpargałów stała klatka z papugą. Wsadził cienki, żółtawy palec pomiędzy pręty klatki i patrzył z uwagą jak ptaszysko grzebie w swoich kolorowych piórkach. — Trudna i wymagająca wielu wyrzeczeń. Myślę jednak, że gra warta świeczki, prawda mistrzu? — nie oczekując odpowiedzi uśmiechnął się bardziej do papugi niż do pacjenta. — Tak, tak, młodość, młodość, to skarb największy!

Chylicki nie umiał opanować zniecierpliwienia. Chciał szybko dowiedzieć się jak przeprowadzić kurację i zmykać na świeże powietrze; było mu duszno, głowa pękała z bólu. Bał się jednak urazić garbusa, który był widać samotny i odczuwał potrzebę wygadania się. Pozwolił mu mówić jeszcze dobrą chwilę i nagle zapytał:

— A czy pan doktor jest pewien, że kuracja będzie skuteczna? Nic gorszego jak złudzenia!

— Może pan być spokojny, mistrzu! — Garbusek oderwał wreszcie uwagę od spasionej papugi. — Mówiłem już panu, że mój system

nigdy nie zawodzi. Jak dobrze pójdzie, za kilka miesięcy mistrz sam siebie nie pozna. Tylko trochę cierpliwości. A teraz proszę słuchać uważnie...

*

To prawdziwa klęska! Przecież nie można zdejmować sztuki przy pełnym powoźniku. I to takiej sztuki! No i co będzie z planem? Czy naprawdę stan pańskiego zdrowia...

— Niestety, panie dyrektorze. Lekkarz zalecił mi natychmiastowy wyjazd. Żle u mnie z sercem, wątroba, nie dopisuje pamięć. W moim



wieku, to nie przelewki. Muszę się do tego zastosować. Ale może by zastępstwo...

— Zastępstwo? Za Bonawenturę Chylickiego? — Dyrektor roześmiał się z hulaśliwą ironią i sięgnął do kieszeni po chustkę otarł pot z czoła. — A ktoś będzie chciał oglądać w naszym mieście innego Horsztyńskiego? Przecież pan sam dobrze wie, że drugiego takiego aktora nie mamy w teatrze. Nie tylko zresztą u nas. Jest pan w ogóle jednym z największych tragiczów! — Chylicki miał już na końcu języka pytanie: „dlaczego o jego wielkości dyrektor nie pamięta, gdy przed kilku miesiącami poprosił o podwyżkę?” Nie chciał jednak teraz o tym przypominać. Było mu naprawdę przykro, że musi wyjechać. Ale równocześnie nie zrezygnował by z tego wyjazdu za żadną cenę.

— Wróć za kilka miesięcy. I zobacz pan dyrektor, w jakiej formie! — Dyrektor w milczeniu pokiwał głową. Był tak zatroskany, że nic do niego nie docierało. Ledwo przekroczył trzydziestkę i nie opowiadał jeszcze w dostatecznej mierze wszystkich arkanów dyrektorskiej sztuki.

— I co teraz robić — powtarzał bez przerwy — I co robić?

— Jakoś pan dyrektor na pewno wybrnie. Może wznowienie, albo gościnne występy...

— A co z pańskim jubileuszem? Czy zdąży pan wrócić? — Dyrektor miał teraz popłoch w oczach. Wizja nowego kataklizmu wytrącała go całkiem z równowagi.

— Oczywiście, że wróć! Od dawna już pracuję nad rolą. Sądzę, że „Król Lit” będzie moim największym sukcesem. A jeśli idzie o frekwencję — na pewno pobijemy „Horsztyńskiego”.

— I ja na to liczę! — Dyrektor zdawał się być nieco uspokojony. — Minister już się zgodził objąć patronat. Niech więc pan wraca jak najszybciej!

Ścisnął dłoń Chylickiego przypomniawszy sobie jednak, że nie znalazł dotąd wyjścia z kłopotów. — „Co robić? Niech pan poradzi!” Ale Chylicki był już przy drzwiach. Przed teatrem czekała Mariola. To było dla niego w tej chwili najważniejsze.

— Słyszałam, że pan wyjeżdża! — Dziewczyna była zatroskana i smutna. — I ładnie to tak? Zostawić spektakl przy pełnych kompletach, no i... Przycisnęła się mocniej do jego ramienia.

— Martwisz się naprawdę? — W milczeniu skinęła głową. — I mnie przykro jest wyjeżdżać!

Szli wolno pod rękę po ruchliwej o tej porze ulicy. Chylicki czuł się prawie szczęśliwy, mając ją tak blisko obok siebie. Nie potrafiły zwaryć tego uczucia często rzucone w ich stronę spojrzenia i złośliwe uśmiešky. Miał ochotę krzyknąć do przechodniów, że za kilka miesięcy będzie młody. A wtedy...

— Czy napisze pan do mnie? — Mariola spojrzała na niego swoimi dużymi, niebieskimi oczami; były teraz lekko zaszkłone. — Żeby pan wiedział jak bardzo będzie mi źle bez pana. W ogóle sobie tego nie mogę wyobrazić! — Chylicki przez mgnienie zawałał się, czy nie powinien, że wszystko to przecież dla niej. Zamiast tego jednak zmusił się do żartu.

— Widzę, Mariolko, że gustujesz w ramolach. Czy zawsze miałaś takie skłonności?

— Proszę nie żartować. Jakiż z pana ramol? Czy stale mam się panu oświadczać? Od dawna pana podziwiam. Podpatruję na scenie każdy pański gest, każde spojrzenie...

— Na scenie! — powtórzył do siebie Chylicki.

— Nie tylko na scenie! — Dziewczyna krzyknęła to tak głośno, że kilka osób aż przystało. — W ogóle jest pan dla mnie...

— Usiądźmy! — Pociągnął ją do najbliższej kawiarni; zajęli stolik w mrocznym kąciaku.

— Za kilka miesięcy wrócę i przywiozę ci wielką niespodziankę!

— Nie chcę żadnej niespodzianki. Wolę, żeby pan nie wyjeżdżał i niczego nie przywoził!

— Gdybyś wiedziała, to na pewno...

— Będę za panem tęskniła. Będzie mi bardzo źle!

To samo powtarzała uparcie wieczorem na dworcu. Do samego odjazdu pociągu trzymała jej rękę w swojej dłoni i szeptał w myśli słowa, których wstydziliby się wypowiedzieć na głos.

*

Wrócił nieoczekiwanie nie zawiadamiając o przyjeździe ani Marioli, ani dyrekcji teatru. Kuracja trwała krócej niż przewidywał, a jej skutek przeszedł wszelkie oczekiwania.

Godzinę przed przedstawieniem wszedł krokiem lekkim i sprężystym do swojej garderoby. Chciał się zdekonspirować dopiero na scenie; w pociągu przemyślał ten swój dowcip do najdrobniejszych szczegółów. Nie umiał pohamować głosego śmiechu, kiedy wyobraził sobie miny partnerów. No i zdziwienie Marioli. Na myśl o niej ogarniała go nagle gorączkowa niecierpliwość. Przez chwilę zdawało mu się, że nie dotrwa do końca przedstawienia, że zrezygnuje ze swojego planu i od razu pobiegnie na drugą stronę sceny do damskiej garderoby. Z dużym wysiłkiem wstrzymał się od tego.

Ściągając ubranie wtajemniczał we wszystko Gaikę. Rudzielec słuchał uważnie, przecierając wciąż oczy i wydając okrzyki pełne zdumienia.

Dokończenie na str. 5



Dziewięć lat minęło od ostatniej premiery „Otella” w Poznaniu. Ale do tego dzieła operowego każdy teatr chętnie powraca. W rozległej twórczości „mistrza z Roncole” (tak nazywa się Verdiego) opera o patologicznym zazdrośniku zajmuje bardzo specjalne miejsce. „Otello” powstał w okresie, gdy 73-letni starzec stał już u schyłku życia. Związka po „Rigoletto”, „Trubadurze”, „Balu maskowym”, a przede wszystkim „Aidzie”, Verdi miał już prawo „spocząć na laurach”. Powyższe dzieła (i szereg innych) odnosiły nieprzeciętne triumfy na europejskich scenach. Publiczność operowa zaliczała autora „Traviaty” w poczet swoich ulubionych — ujęta żywiołowym wyrazem melodyjnej muzyki, jej naturalnością i przystępnością (cechy ludowe, rdzennie włoskie). A jednak maestro postanowił w końcu zmienić styl. Dotychczasowy kontynuator tradycji narodowych Rossiniego i Belliniego ostatecznie porzuca dawne wzory i schematy. Stworzył prawdziwy dramat muzyczny, pozbawiony kokietujących publiczność arii, popisów koloratury, wstawek baletowych i innych uszniętych zwyczajowo form.

Już 40 lat wcześniej, bo w r. 1847 Verdi sięgnął po tekst szekspirowski i napisał muzykę do tragedii „Macbeth”. Zbiera później materiały do „Króla Leara”. Fragmentaryczne szkice z tej opery zużytkował (podobno) przy tworzeniu „Otella”. Teraz związał się kompozytor ze znanym poetą i muzykiem Arrigo Boito — synem Jubięra z Parmy i Józefiny Radolińskiej (Polki spod Kalisza). Ze słynnego dramatu Szekspira zręczny librecista wykreślił potrzebny operowy tekst, snujący opowieść o anielicy — Desdemonie i wcieleniu zła, okrutnym Jago, który chwilejnego Otella doprowadza do zbrodni. W dziele Szekspira akcja przedstawia się bogato, psychologicznie umotywowana. Libretto operowe musi skracać wątki (z natury rzeczy) i upraszczać charaktery. Mimo udanej i proporcjonalnej formy tekstu (ukłon w stronę Boita) współczesny słuchacz musi uśmiechnąć się nad łatwowiernością Otella, naiwnością intrygi z podrzuceniem chusteczki i szablonami postaci. W ujęciu operowym wypadła to wszystko dość nieprawdopodobnie, nie pozwalając głębiej wzruszyć się ani zaleh-

Kazimierz Nowowiejski

„Otello” w nowej szacie

stwem szlachetnego Zarządcy Cypru, ani cierpieniami jego słodkiej małżonki. Związka, gdy różni starsi panowie „z brzuszkiem” miotają się po scenie, podstuchują za filarem, ziorczą sobie i pokrzykują groźnie („O przekleństwo, trućca moja działa” itd.). Widz czuje się w tych momentach aż zażenowany ową „symfonią miłości, cierpienia i demonizmu”, jak szumnie nazywają „Otella”.

Ale muzyka Verdiego jest wspólna i to nie może ulegać żadnej dyskusji. Wielkie chóry I aktu (burza morską), liryczny duet miłosny, kwartet, finał III aktu, żałobna pieśń o wierzbie — na pewno należą do piękniejszych kart jakie napisano w historii romantycznej opery. Zdumienie musi budzić świeżość fantazji muzycznej, jaką zachował 73-letni kompozytor. Dramatyczny rozmach, zrzeczność bogatej ilustracji orkiestralnej, mistrzostwo operowania techniką wielogłosową, oto niektóre cechy „Otella”. Nowość stanowi linia melodyjna, płynąca nie konwencjonalnie (w formie arii), lecz recytatywnie, niby śpiewna mowa — co zbliża Verdiego do stylu Wagnera. W orkiestrze ciągle coś się dzieje, czyli ani śladu przysłowiowej „włoskiej katarzynki” z czasów „Rigoletto”. Przeciwnie, dyrygent ma tu trudne zadanie, by wydobyc wszystkie piękności partytury, a nie zagłuszyć solistów. Udało się ten problem rozwiązać dyrygentowi E. Kowalskiemu, który wypracował całość z niemalym artystycznym i przecież wieloletnim już doświadczeniem. Chóry naszej Państwowej Opery, przygotowane przez W. Buchwaldę, zasługiwały na żywe oklaski, których zresztą publiczność premierowa nie skąpiła.

Pisałem niedawno, że święta to okres wspomnień „pod choinką”. Jako mały chłopiec słyszałem jeszcze w Poznańskiej Operze (lata międzywojenne) K. Czarneckiego w roli Otello. Do dziś pamiętam jego czar na twarz i temperament, gdy (groźnie tyjąc białkami oczu) na wielkim łóżu dusił obojętnie Desdemonę (może Irenę Cywińską,

ale nie przysięgam). Już następna, powojenna, realizacja opery Verdiego z brawurą kierował zasłużony dla kultury miasta Z. Wojciechowski. Tytułową rolę śpiewali wówczas na zmianę: Arno i Domieniecki. Ten ostatni jest znowu stałym solistą naszego Teatru i kreuje właśnie Otella. Któż mógłby go zastąpić w tej partii, wymagającej tyle siły, wytrzymałości i blasku w głosie? Jagona ongi śpiewał u nas nader muzykalny baryton (i dobry aktor) Z. Mariński, wychowanek Poznańskiej Opery, gdzie występował jeszcze przed wojną. Obecnie zastąpił go A. Fechner. W tej roli wprost wzorowy wokalnie (okazywał i nośny głos dramatyczny), również i aktorsko zręczny, dyskretny, nieprzeszarżowany.

A. Kawecka jako Desdemona stworzyła postać pełną czaru i słodyczy, owianą atmosferą smutnej poezji. Cały ostatni akt, a więc pieśń o wierzbie, modlitwa i finał, w ujęciu naszej cenionej sopranistki warty odpowiedniego wrażenia. Inne postaci opery Verdiego mają charakter raczej drugoplanowy. Choć wymienimy jednak po kolei: F. Kurowiak, J. Przadę, A. Cwiczekowskiego, E. Kmiciewicza, J. Machallę. Wszyscy oni śpiewali z przejęciem, starannie przygotowani.

Osobno należałoby omówić zupełnie nową realizację inscenizacyjną i dekoracyjną ostatniej premiery „Otella”. J. Grubowski umiejętnie operuje masą ludzką na scenie. Unika chaosu i banału. Waleczy z szablonem gestu solistów. Ale dobrze, że pozwolił się im tym razem swobodnie wyżyć aktorsko (bez sztywności statyczności). Dekoracje interesują ciekawym białoczarowym kolorytem, na którego tle tylko nieliczne plamy grają odmiennie (złote arkady sypialni, czerwone ione, trująca zielen drzew). W sumie Z. Kaja ma na pewno duży smak teatralny. Nie zabiega o kolorkowość i rutyniarstwo „ładność”. Jego 4 obrazy harmonizują zgodnie z ponurym charakterem dramatu Szekspira. Scena często tonie w mro-

ku, podczas gdy postaci solistów wyłapywane bywają jaskrawym refleksiem. Bogate i barwne kostiumy, projektu prof. S. Jarockiego, efektownie odbijają od szarych ścian.

Na zdjęciu: scena z aktu I. Desdemona — Antonina Kawecka, Otello — Wacław Domieniecki.

Fot. — Grażyna Wyszomirska



Józef Pieprzyk

W Wielkopolsce lud wesoły

Nie ma nigdzie w kraju z wyjątkiem Kujaw tak wielu miłych i pogodnych pieśni ludowych jak w naszej Wielkopolsce. Muzyka o żywym tempie związana jest ściśle z rytmiką taneczną; ten czynnik zupełnie podporządkował sobie teksty.

Melodie większą przejawiają stałość. Ale teksty — nie. Lada okazja i kieliszek przed muzykantem, przyczyniały się do powstawania przyspiewek, od których albo słodko albo gorzko robiło się dziewczętom na sercu. A jakie cięle i pouczające. Podłuchajcie.

Ożeniłem się, to chwala Bogu, dostałem żonkę pięknego rodu, pięknego rodu, pięknego chodu, nie chciała robić, zmarła od głodu.

Albo pełne przekomarzenia miłosnego:

Ty dziewczulo, jam cię widział, pierwszy raz w kościele, o! nie mogłem ja się modlić, patrzyłem na ciebie.

Albo rubaszne i frywolne: Żelazne drzwiczki miała, słomką je zapierała...

Albo: Ty dziewczulo, szczęścia nie masz, bo na długiej słomie legasz, a przy niej snopek targany, przyjdą chłopcy jak barany.

Albo coś w tym rodzaju: W sobotę na wieczór, umarta mi żona, osierociła się na łóżeczku stoma.

Księżyk się zmilował, żonę mi pochował, organista zagrał, a ja... potańcowa!

Wysupłał mi ze swej pamięci dziesiątki takich piosenek i przyspiewek Stanisław Mikołajczak w Pięckowie, pow. Środa. A ma ich przeszło sto, oraz udział w 16 weselach w ślaniu kawalerskim i w 41 w ślaniu małżeńskim. Kiedy jeszcze jako chłopiec w

rodzinnej Cielczy (pow. Jarocin) zaśpiewał i k sobie dla własnej przyjemności albo zagwizdał, ludzie przystawali. A dziś chętnie tego 62-letniego mieszkańca wsi i od 39 lat robotnika orzechowskich zakładów drzewnych, chętnie zapraszają do siebie świetlice. Młodzież podziwia werwę starych piosenek, talent śpiewaka, starsi zaś słuchając — śmieją się i lzy ocierają, bo to okrucy z ich młodzińskich lat.

Na górze przy dziurze są czerwone jabłka, daj buzi, dziewczulo, bo kazala matka.

Przytoczyłem wyjątki z tekstów piosenek z bodajże najmniejszego w kraju regionu, bo obejmującego zaledwie jedną wioskę. A jeszcze weselsze, dowcipniejsze żyją jeszcze w powiecie zbąszyńskim, u biskupian i na Kujawach, częściowo wchodzących w skład naszego województwa. Czciogodny Kolberg przed 80—90 laty samych piosenek zebrał przeszło 10 tysięcy, wiele na pewno pominął ze względu na frywolną treść. Kilkanaście tysięcy piosenek nagrali przed wojną i po wojnie J. i M. Sobiescy. Niedługo chyba ukażą się opracowania muzykologiczne, lecz nie słyhać o tym, żeby ktoś się pokusił o opracowanie tekstów od strony poezji ludowej, doboru przenośni, gry słów, domyslników, pod którymi ukrywa się chłopiecka rubaszność, humor.

A właśnie ten humor już się zmienia jak wiele innych elementów kultury wiejskiej. Może ktoś zabierze się do napisania swoistej „księgi humoru wielkopolskiego”. Tu włączyć można by jeszcze bogactwo anegdot, wydarzeń, zwyczajów i pomysłów. Przecież ta wesołość i żart są cechą Wielkopolan, różniących się od innych, o czym mało się wie, ba, nawet — co niezgodne jest z prawdą — uważa się Wielkopolan za pozbitych tych cech.

Wiek postępu

Humoreska

Siedzieliśmy pod drzewkiem ze sztucznego tworzywa i rozgryzaliśmy każdy swojego orzecha.

— Zanika tradycja w narodzie — westchnął wuj. — Choinka sztuczna, orzechy trudne do rozgryzienia jak przez rok cały. Nie tak dawniej bywało.

— I gwiazdora nie ma — dodał dziadzio. — A tak się przyzwyczailiśmy.

— Trudno — podsumował szwagier. — Dziś jest wiek postępu.

W tej chwili drzwi uchyliły się i wszedł gwiazdor. Gwiazdor był niechlujny i podupadły. Nie czesana broda spadała mu sztywnymi kosmykami na pierś, brudny kożuch rozciągał zapach starego łożu, rumieniec z taniej szminki rozmazywał się na brodzie.

— Upadło rzemiosło gwiazdorskie — westchnął gwiazdor, ciężko zapadając w fotel. Ileż nadziei wiązano dawniej z moim przybyciem, ile obiecywano sobie po dźwięku dzwonka? Dziś, wszystko to przeminęło bezpowrotnie. Zle gwiazdorem w wieku postępu, nie ma miejsca dla gwiazdatorów.

Siedzieliśmy w milczeniu, ze ściśniętymi gardłami i nosami.

— Upadać zacząłem stopniowo — podjął gwiazdor. — Również przed pięć laty liczba zamówień zaczęła spadać. Już tylko przywaciarze, instalatorzy, kelnerzy i ekspedientki zamawiali wizyty. Działalność Towarzystwa Szkół Świeckich dokończyła ohydne dzieło. Niewiara młodych absolwentów techników gastronomicznych i instalacyjnych oraz wyższej szkoły ekspedienckiej doprowadziła do tego, że w roku ubiegłym otrzymałem już tylko jedno zamówienie: od starego przywaciarza obciążonego przesadami. Dziś i on przystąpił do towarzyszywa w charakterze członka wspierającego. I tak upadłem.

Pociągnęliśmy nosami. — Dziś — rzekł gwiazdor — wyszedłem już tylko z przyzwyczajenia. Z pustym workiem, zaniechany i dawno nie myty. Hej, przemienili dni mojej chwały. Zaszlochał, tyknął kielich, pociągnął nosem i poszedł w nagle, noc ciemną i zawiewe.

— Finis Poloniae — stęknął wuj i podrapał się za uchem. — Upadła tradycja w narodzie.

— Wiek postępu! — z goryczą dorzucił szwagier i podrapał się po brodzie.

— Nie przyniósł nic — podsumował dziadzio i zachochnął się po szyl.

Potem spojrzeliśmy po sobie. A jednak gwiazdor coś przyniósł. Pchły!

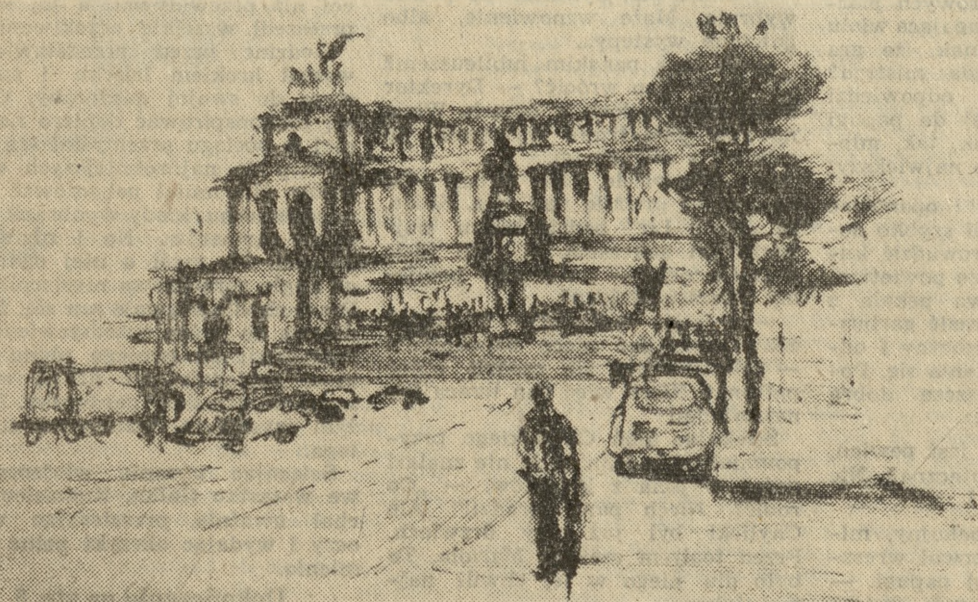
Janusz Przybysz

Przy fontannach dokazują rzymskie dzieci, powracające ze szkół. Nabierają wodę w dłonie, piją, oblewają się nią wzajemnie. Salwy śmiechu i wrzawa. Ciepło 15—18 st. Siadam w słońcu pod kolumną, sięgam do sportowej torby po kanapkę. Pagnienie gaszę pomarańczami (1 kg kosztuje 140—180 lirów, a więc w cenie 1 kg chleba lub dwóch znaczków na listy).

Godzina 13. Z Watykanu wyjeżdżają samochody w stronę miasta. Za szybami skupione, zmęczone twarze. Stare i młode, milczące. Autokary napętniają się biskupami, kilku z nich idzie w stronę faksówek. Nie spostrzegam ceremonii.

Kilkanaście osób patrzy na to barwne widowisko. Włoch z Tyrolu pokazuje mi arcybiskupów z różnych kontynentów. Za kierownicami niektórych limuzyn — księża. Długo jeszcze z bramy Watykanu wypływają ludzie i samochody. Gwardziści salutują, prezentują broń przed każdym niemal świeckim, przed każdą osobą duchowną.

Tracę cierpliwość. Pod pretekstem zwiedzenia cmentarza, przekraczam — za zezwoleniem gwardzysty — bramę Watykanu (Arco delle Campanie). Idę w cieniu gmachu Św. Officium. Idę obok Sanktuarium w stronę Pałacu Rządowego.



Ilustr. — EWA PRUSKA